

ROK VIII Nr 1 (64)
NIECODZIENNIK
Styczeń-Luty
2008

VARSAVIANA

MIĘDZY NAMI MIĘDZY NAMI ANINI ANINAMI ANINI ANINAMI

ISSN 1644-6356
PISMO BEZPŁATNE



ANIŃSKI rok JERZEGO ZARUBY



Anna Francman

Wnętrze

W letniej szacie dom jest ukryty w zieleni. Te okna na górze, to mieszkanie Jerzego Zaruby. Byłam tam zaledwie kilka razy. Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie wielki, jak mi się wtedy wydawało, kominek. W pokoju było pełno wszystkiego; był półmrok, kuchni jakoś zupełnie nie pamiętam, natomiast z boku była ciągnąca się wzdłuż całego domu wąska i też ciemna spiżarnia.

Częściej widywałam artystę u nas w domu. Jego wizyty były rytuałem. Przywoził często pieczarki, zasiadał na fotelu, długie godziny rozmawiali z mamą o sztuce, z tatą o samochodach, oglądali telewizję, sączyli zaczną herbatę, której był znawcą. Kiedyś dostałam od niego lalkę pacynkę, nazywała się Petronela, miała czerwoną sukienkę w czarne grochy, rudy koński ogon z karbowanej włóczki i nosek z węzła. Mam w pamiętniku z lat 60-tych wyblakły już, wzruszający rysunek Jerzego Zaruby z podpisem *kochanej Ani od wujcia Jurka-Zaruba-58r.* Na rysunku Św. Mikołaj i Dziadek Mróz z pięcioramienną gwiazdą przy czapie zgodnie niosą choinkę.

Tata zawsze pomagał sąsiadom, reperował telewizory i co tylko się im popsulo. Ostatni raz, gdy Zaruba był ciężko chory, pojechaliliśmy do niego. Tata reperował mu radio.

Ewa Borkowska-Domańska
(prawie aniniana)

Pamiętam Go

Pamiętam Go. Starszego Pana, przyjeżdżającego codziennie wieczorem do Alicji i Wieśki Francmannów, u których spędzaliśmy wakacje. Wtaczał się do góry stromymi schodami i zasiadał w „swoim” fotelu tuż przy kominku. (Do dziś nazywamy go fotelem Zaruby). Fotel był niski, z drewnianymi poręczami. Sypiał na nim Bakun – wilczur, który na widok Jerzego zawsze schodził z fotela, ustępując go gościowi. Zaruba siadał, wyciągał fajkę, ale dziwne, bo nie pamiętam zapachu amfory, a przecież pamiętam wszystkie zapachy dzieciństwa, w tym zwłaszcza zapachy Anina. Czyżby więc pan Zaruba nie palił falki, tylko trzymał ją w ustach? Trzeba by zapytać Alicję.

Wyciągnąwszy fajkę, wyciągał też małą pierśióweczkę z jakimś trunkiem. Z jakim? Nie mnie wiedzieć. Miałam w końcu zaledwie 8 lat i nie był to wiek, w którym interesowały mnie trunki.

Któregoś dnia pan Zaruba nie przyjechał. Okazało się potem, że złamał nogę i to na dodatek przez pomyłkę, a konkretnie – przez pomyłkę telefoniczną.

Późno w nocy obudził go telefon. Wstał zaspany i nie zauważwszy jakichś kabli, przewrócił się.



Poczuł ostry ból, ale nie zważając nań doczołgał się do telefonu, odebrał go, żeby dowiedzieć się, że to pomyłka, ktoś źle wykręcił numer.

Przez jakiś czas Zaruba nie przyjeżdżał do Francmannów. Brakowało go nam. Tylko Bakun wydawał się być zadowolony. Mógł wieczorami wylegiwać się na fotelu, nie musiał go ustępować panu Zarubie.

A potem, po zdjęciu gipsu, zaczęła się rehabilitacja. Lekarz zalecił masaż wodny. Wiesiek stwierdził, że najlepszy masaż, to masaż w popularnej pralce wirowej, Frani. Pan Zaruba przychodził więc, siadał na wysokim stołku, nogę wsadzał do pralki, włączało się ją, pralka ruszała, zaczynał się leczniczy masaż wodny. Dozór techniczny sprawował Wiesiek i mój tata – inżynier elektryk. Tymczasem Alicja z moją mamą przygotowywały coś do zjedzenia. Po masażu, zwłaszcza wodnym, zawsze przecież zaostrza się apetyt.

MÓJ ANIN



Foto Anna Francman

Czywiście, że Anin jest mój „jeszcze sosnowy i brzozowy”. Czasem trzeba na niego ponarzekać, zawsze kochać. Ponieważ ogłoszono w naszym piśmie, że ten rok jest Anińskim Rokiem Zaruby, przedstawiam Anin w suchorycie, który on lubił.



Suchoryt

Podarowałam go Zarubie z okazji pewnych zamierzonych imienin. Podpisałam „Najmilszemu z Jerzych – Anin i Alicja”. Zaruba zawiesił sobie tę grafikę nad swoim biurkiem i przetrwała tam całe lata.



Alicja Francman obok Jerzego Zaruby w jego pracowni
fot. Wiesław Francman

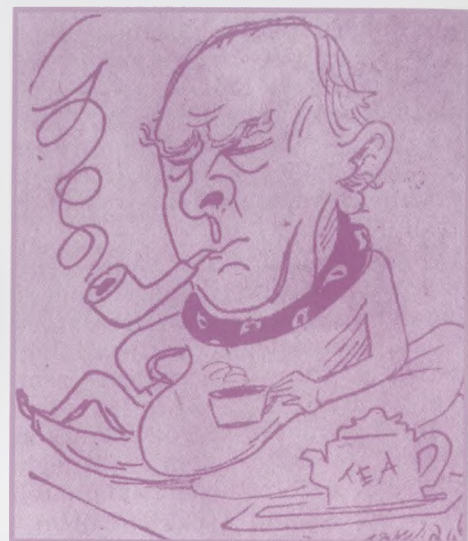
Mój mąż zrobił kiedyś zabawne zdjęcie z kameralnego spotkania u Zaruby. Na pierwszym planie miły, jedzeniowy bałagan: na drewnianym stole filiżanki, saska patera z owocami, cynowe talerze i raki. Ja jestem uśmiechnięta i skupiona na smakowitym dłubaniu, szeroko roześmiany Zaruba prawą dłonią obejmuje mnie serdecznie, a w uniesionej – lewej demonstruje wielkiego raka trzymanego za szczypce. W tle kwiaty, biurko z pędzlami i rzędkiem słoiczków temper, a nad biurkiem – moja anińska grafika, którą widać na zamieszczonym zdjęciu. (red.: Niestety, mało wyraźnie, ale jest jej reprodukcja).

Od czasu do czasu, kiedy Zarubie spiętrzały się propozycje zawodowe, miałam okazję trochę zarobić, pomagając mu w pracy. Wyglądało to mniej więcej tak: telefon – masz czas? Słuchaj, jest mi potrzebna ropucha, sieczkarnia i pchła. Poszperaj w encyklopediach, narysuj w różnych ujęciach (DUŻE!) i przywieź. Jak najprędzej!

Zaruba miał wspaniałą, lekką kreskę. Jego „machnięte” rysunki jakby powstawały same, ale widziałam, że jeśli zdarzyło się, że jakiś drobny fragment nie podobał mu się, to rysował go wielokrotnie, poczym wybierał najlepszą poprawkę i zaklejał denerwujące go miejsce. Czasami rysował kilkakrotnie cały rysunek, po czym urządzał swoisty konkurs prac; po dłuższym zastanowieniu wybierał najlepszą wersję. Często za jego lekkimi rysunkami kryła się bardzo ciężka praca.

Antoni Wiweger

PIERWSZY ANINIANIN JERZY ZARUBA



Jerzy Zaruba nie był pierwszym ani jednym z pierwszych mieszkańców Anina, ale nikt przed nim nie został w równie uroczysty sposób nazwany „aninianinem”. A było to tak. Jest rok 1953, rok wielkich odejść. W marcu umarł Stalin. Jest kwiecień, Jerzy Zaruba obchodzi w Aninie swoje imieniny w gronie przyjaciół. Nikt nie przeczuwa, że znakomici przyjaciele Jerzego, Gałczyński i Tuwim, mają przed sobą już tylko kilka miesięcy życia. Tuwim daje Zarubie napisany specjalnie dla solenizanta i jemu dedykowany wiersz *Lament Aniński*, będący pod pozorem utyskiwań poety na płec piękną wirtuozowską zabawą z wyrazem „Anin”. Warto zacytować fragmenty tego wiersza:

O, nie pytaj, czemu męczę się w Aninie!...
Ani dawniej nie znośtem, ani ninie
Znieść nie mogę kakofonii. ...

.....
Ani nikt mnie nie zrozumie, ani mnie nie
Wytłumaczy, że to przejdzie, że to minie:
Tych babsztylów wieczny najazd i labirynt
I ten dźwięków dziki chaos i labirynt
Ani starzy aninianie, ani nowi,
Ani ty, mój Jerzy, wierny Aninowi...

Niech ta skarga pozostanie między nami,
Między nami Aninianinami:
Nie mów o niej ani Mani ani niani,
Ani mamie, ani Ninie, ani Ani,
Ani innym, czy to paniom, czy to pannom,
Przed wszystkim – ani słowa aninianom,
Bo obrazić się na lament mój gotowi...
Aninianin aninianinowi...

Szkoda, że w wydanej przez PIW w roku 2003 książce: *Juliana Tuwima, Nowy wybór poezji* zacytowany tu wiersz uległ drobnej, ale istotnej modyfikacji. W linijce 4. od końca zamiast „paniom, czy to pannom” czytamy „panom, czy to paniom”, a w linijce 3. od końca zamiast „aninianom” jest „aninianom”. W ten sposób uległa zakłóceniu wewnętrzna logika wiersza i wyeliminowany został zabawny, tuwimowski neologizm „aninianna”, znaczący tyle, co „panna z Anina”.

Budzący czasem kontrowersje i kłopotliwy w wymowie tytuł naszego pisma jest właśnie cytatem z tego wiersza.

W zyciorysie Pierwszego Aninianina są pewne dane niepewne. Niepewne zdaje się być jego miejsce urodzenia. Encyklopedie podają, że Jerzy Zaruba, karykaturzysta, rysownik, malarz i scenograf, urodził się 17 lipca 1891 roku w Radomiu. Jego wspomnienia *Z pamiętników bywalca* (1958) milczą na ten temat, ale sugerują, że dzieciństwo spędził w rodzinnym domu gdzieś na Podolu. Węć skąd Radom? W czasach, gdy spisywał te wspomnienia, nie było mile widziane, ani nawet bezpieczne, publiczne przyznawanie się do tego, że się jest potomkiem szlachty kre-

sowej. Do roku 1910 uczył się w Kijowie, tam ukończył szkołę średnią, a w latach 1908 – 1910 uczęszczał do kijowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Następnie studiował przez dwa lata w Warszawie w Szkole Sztuk Pięknych u Stanisława Lentza. W latach 1912–1915 przebywał w Paryżu, gdzie wystawiał z grupą Młoda Sztuka i warszawską Grupą Formistów. Gdy Europę ogarnęła pierwsza wojna światowa, przedostał się do rodziny na Ukrainę, skąd powrócił do Warszawy w roku 1919. Uprawiał malarstwo, grafikę, rysunek satyryczny, karykaturę polityczną i obyczajową, scenografię i twórczość literacką. Współpracował z wieloma pismami, wykonywał ilustracje do książek i czasopism, projektował kukielki do szopek politycznych, jako scenograf współpracował z teatrami Ateneum i Małe Qui Pro Quo. W roku 1930 zamieszkał w podwarszawskim Aninie, gdzie z pewnymi przerwami przebywał aż do śmierci.

Mimo licznych zajęć nie żałował czasu dla Anina – jego dekoracje zdobiły salę anińskiego Kasyna. Chociaż byłem wtedy ośmioletnim dzieckiem, dobrze pamiętam jego karykatury umieszczone na ścianach sali tuż przed wybuchem wojny. Moją uwagę młodocianego entuzjasty lotnictwa przykuwał duży wizerunek nieprzyjacielskiego samolotu, który na skrzydłach miał wymalowane... czerwone gwiazdy.

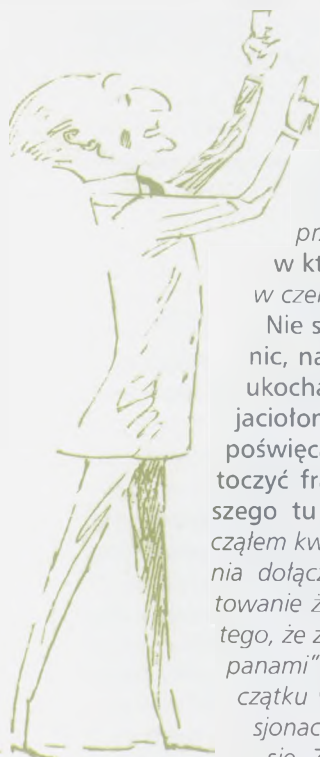
Zoną Jerzego Zaruby była Szkotka, Flora MacPherson, uwieczniona w wierszu Gałczyńskiego jako „szkocka kuzynka Flora”. Na kilka tygodni przed wybuchem drugiej wojny światowej wobec pogarszających się stosunków międzynarodowych wyjechała do rodziny do Londynu. Do Polski nigdy nie powróciła. Zaruba pozostał w kraju. Małżonkowie rozdzieleni wojną utrzymywali żywy kontakt korespondencyjny, również przez krótki okres po wojnie, ale ostatecznie, po wizycie Zaruby w Anglii, małżeństwo rozpadło się.

Zaruba nie był wielbicielem PRL, ale zdaniem wielu wykazywał przesadny konformizm w stosunku do władzy ludowej. Wszystko wskazuje na to, że tego samego zdania była jego szkocka żona Flora. Był postacią niejednoznaczną, ale lubianą przez wszystkich, którzy go znali. Tworzył bardzo ostre karykatury polityczne, a równocześnie czytywał Chestertona. Kiedyś zachęcił mnie do przeczytania książki Chestertona o świętym Tomasz z Akwinu. Książkę tę mam do dziś w mojej bibliotece.

Jerzy Zaruba umarł 11 stycznia 1971 roku i został pochowany na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Pomost czyli ANINIANIE U „BYWALCA”

J Teresa. Szymczak



W żadnej ze znanych mi książek Anin nie jest opisany z taką czułością, jak w „pamiętniku bywalca”. Tam Anin pojawia się już na pierwszej stronie. W *Zamiast przedmowy* określone jest miejsce, w którym książka powstawała: *Anin w czerwcu 1957 roku.*

Nie sposób wyliczyć wszystkich stron, na których Zaruba wspomina ten ukochany Anin. Swoim anińskim przyjaciółom, Gałczyńskiemu i Tuwimowi, poświęca osobne rozdziały. Warto przytoczyć fragment, dotyczący jego pierwszego tu pobytu. Był to rok 1928. *Zacząłem kwękać. Do objawów przepracowania dołączyło się uczucie nudy i zdegustowanie życiem wielkomiejskim. Doszło do tego, że zacząłem się ukrywać przed „kompanami” aż w Aninie. Parodniowa na początku wizyta moja w miejscowym pensjonacie pani Rudzińskiej przedłużała się. Zasmakowała mi tutejsza kuchnia i uwiodły zapachy leśne. No i cisza. W*

jesieni roku 1930 przenieśliem się na stałe do Anina. Wynajęłem pokój w typowym „drewniaku” i zacząłem się powoli zagospodarowywać. W rok później przenieśliem się na piętorko tej willi, gdzie miałem już dwie werandy, kominek, psa i klucz do lasu. Najładniejszą część lasu była wtedy jeszcze nietknięta, dziewicza, zagrodzona i na kłódkę zamknięta.

Wydaje się, że to Zaruba pierwszy odkrył uroki anińskich nocy, o których poemat napisał Gałczyński. Bo oto, co pan Jerzy pisze w *Wiadomościach Literackich* w 1934 r.: *Rzecz prosta, że gdy się mieszka w otoczonym sosnami drewniaku, ma się wspaniałe (weekendowe, że tak powiem) powietrze na co dzień, a co wieczór widzi się na własne oczy, jak oszalomiona ciszą i zapachami powstaje ogromna noc, miasto wydaje się zwariowanym, wrzaskliwym i cuchnącym „pociejowem”*

Na łamach książki pojawiają się osoby i nazwiska obecnych mieszkańców, ich przyjaciół, a nawet – członków redakcji MNA. Bo kim jest młoda, zdolna malarka, Alicja F?. Opisał Zaruba dow-



cip, jaki z okazji jego jubileuszu zrobiła mu m.in. „nasza” pani Alicja Francman. Były to śmieszne depesze od ważnych osobistości.

Cytując w książce treść tych depesz, pisze Zaruba: *Choć paski z aparatu telegraficznego były naklejone przepisowo na blankietach ozdobnych Poczty Polskiej, jasne było, że były fałszowane. Podejrzywałem nawet Eryka Lipińskiego. Okazało*

się, że autorem ich była młoda, zdolna malarka, żona mojego sąsiada anińskiego, Alicja F.

Wspomina też słynną restaurację, należącą do ojca naszego redakcyjnego kolegi, Antoniego Wiwegera.

Przed jakimś miesiącem od opisywanego wypadku patrol żandarmerii przy Gocławku zatrzymał motocykl i pod zarzutem przekroczenia przepisów kazał inżynierowi jechać ze sobą do komendy ruchu. Inżynier J., nie tracąc animuszu, zapytał:

– Do komendy? A co tam będziemy robić? Jedźmy lepiej do Wiwegera.

– A kto to jest Wiweger? I co tam będziemy robić? – zapytali z ciekawością szpopy.

– Wiweger – to jest doskonała knajpa w Wawrze, a robić nie będziemy nic poza piciem sznapsa i jedzeniem dobrych zakąsek.

A o ojcu autora recenzji w naszym MNA, Zbigniewie Mitznerze, pisze Zaruba: *Przyjacieli mój, były redaktor Szpilek i znakomity publicysta Zbigniew Mitzner, pisząc wstęp do wydanego po długich a ciężkich cierpieniach przez WAG złęgo albumu moich złych karykatur; cytuje – zmieniony zresztą nieco przez niego – fragment mojego felietonu drukowanego w swoim czasie w „Wiadomościach Literackich”, podając w skrócie motywy mojej przedwojennej ucieczki z Warszawy do*

Anina: Na próżno Syrena mrugała namnie z daleka swymi reklamami... Dostałem miastowstrętu... i później traktowałem stolicę jako teren łowiecki i panopticum razem. Objeżdżałem redakcję, zawoziłem rysunki, inkasowałem honoraria i – tyle mnie widziano. Było to zresztą tak blisko. Warszawa leżała na peryferiach Anina...

W taki oto sposób nasz „niedziennik” przerzuca pomost między dawnymi i nowymi czasami.



Willa Jasinek nr 46

Historia domu z mieszkaniem J. Zaruby



Przełom XIX i XX wieku.

Więść, że zarząd dóbr wilanowskich przystąpił do sporządzenia planu parcelacji nowego terenu, położonego niedaleko stolicy, przy linii kolejowej warszawsko-wiedeńskiej i stacji kolejowej Wawer, szczególnie szybko rozeszła się wśród braci kolejarzkiej.

Drzewostan sosnowy i czysta woda gruntowa tworzyły zdrowy klimat. Parcele miały być sprzedawane na bardzo dogodnych warunkach i za niską cenę.

Jednym z pierwszych zapisujących się na listę potencjalnych nabywców był kolejarz-maszynista, Tadeusz Jaroszewski z małżonką Janiną.



Początki transakcji nie były trudne.

W wyniku geodezyjnego opracowania określony teren podzielony został liniami wzdłużnymi i poprzecznymi na prostokąty. Uzyskano 150 kolejno ponumerowanych działek, o przeciętnej powierzchni 1230 sążni kwadratowych (5599m²) każda. Ale z powierzchni każdej działki odjęto niewielką część gruntu z przeznaczeniem na poprowadzenie komunikacyjnych duktów.

Ponieważ przyszła zabudowa na działkach miała mieć charakter willowy, rozparcelowany teren dóbr wilanowskich nazwano „Wille Anin”. Tak też nazwano kolejno zakładane tomy ksiąg wieczystych, w których zapisywano akty kupna-sprzedaży (fragment tekstu dotyczący sprzedaży brzmiał... „parcela wydzielona z majątku Wilanów pod nazwą „Willa Anin” w gminie Wawer, powiatu i województwa Warszawskiego”).

Pierwsi właściciele

Właścicielami działki o numerze hipotecznym 46, położonej w centrum Anina, przy późniejszej al. Środkowej nr 15 i ul. Poprzecznej nr 10, zostali Tadeusz i Janina Jaroszewscy, Stało się to jeszcze przed 1909 rokiem.

Nie wiem tylko, czy wybór miejsca dokonał się przez wskazanie go palcem na planie, czy według innego przyjętego systemu, np. uwzględniającego kolejność zapisów.

Nowo zakupionej parceli nadano imię „Willa Jasinek”. Wydzielono ją z tomu I księgi wieczystej „Wille Anin” i przeniesiono do odrębnej księgi hipotecznej pod nazwą: Willa Jasinek n. 46” i na imię Janiny Jaroszewskiej.

Poza aktem spisany w dokumentach, drugą, nieco trudniejszą czynnością było wyznaczenie granic działki w terenie. W porozumieniu z nabywcą i na jego koszt, mierniczy przysięgli Józef Pokrzy-

wicki, zatrudniony wówczas przez zarząd dóbr wilanowskich do prac parcelacyjnych, wykonał w terenie czynności geodezyjne.

Tadeusz Jaroszewski, kolejarz-maszynista, swój czas dzielił na służbę w kolejnictwie oraz na dogłądanie własnej firmy – odlewni metali półszlachetnych w Warszawie.

Rozpoczęto budowę

Na parceli anińskiej rychło rozpoczęto budowę willi. Była ona jedną z pierwszych powstających w tym prawie jeszcze dziewiczym lesie.

Według przyjętej koncepcji usytuowano ją w bliskości późniejszej al. Środkowej i sąsiedniej parceli nr 47, własności Jana Białego. Technologia budowy nie odbiegała od stosownej w tamtym czasie i miejscu, odnośnie budynków drewnianych. Na fundamentach betonowo-ceglanych ustawiono z grubych bali konstrukcję ścian, stropu i poddasza, Między warstwami mocowanych do konstrukcji desek od strony zewnętrznej i wewnętrznej, w powstałą wolną przestrzeń upychano sosnowe igliwie, którego wokół było pod dostatkiem. Ekologicznie.

Tak powstawała willa Jaroszewskich, piętrowa z dużą przestrzenią mieszkalną na parterze i nieco mniejszą na piętrze. Główne wejście do budynku zlokalizowano od strony podwórza. Z sieni prowadziły drewniane schody na górę. Z dwóch górnych pokoi były wyjścia na dwie odkryte werandy – od strony północnej i wschodniej.

Z zewnątrz willa nie była zdobna w mnogość rzeźbionych w drewnie detali architektonicznych, bowiem gospodarze większą wagę przykładali do zorganizowania maksymalnych wygód w mieszkaniu.

Sukcesorem posiadłości anińskiej oraz znanej już świetnie prosperującej firmy-odlewni metali półszlachetnych w Warszawie został syn Tadeusza i Janiny – inż.

Tadeusz Konstanty Jaroszewski (ur. w 1896 r.).

Z małżonką Felicją (ur. w 1898 r.) rozpoczęli nowe zagospodarowanie całej parceli. Część z willą i placem przed nią oddzielono ogrodzeniem z siatki, a drewnianą zabudowę gospodarczą, przylegającą do tego ogrodu, powiększono o potrzebny garaż. Druga część placu – narożna, z gęstym drzewostanem, dziewicza, pozostała z przeznaczeniem na miejsce zabaw dzieci właścicieli i ich rówieśników.

W 1921 roku przyszedł na świat pierwszy syn – Jerzy Konstanty, w 1923 drugi syn Tadeusz Roman, a w 1924 r. córka – Mirosława Felicja. Przed domem i wokół niego urządzono piękny ogród. Inż. Tadeusz Konstanty Jaroszewski niedługo potem zasłynął jako hodowca-amator kilkudziesięciu odmian róż i dali. Sadzonki sprowadzane były z najlepszych polskich i zagranicznych firm ogrodniczych. Często też sam pracował nad wyhodowaniem nowej odmiany rośliny.

Zaruba – mieszkańcem

Sławnym mieszkańcem willi Jaroszewskich został Jerzy Aleksy Zaruba. Zaproszony uprzednio przez prof. Stanisława Kazuro do odwiedzenia Anina w końcu lat 20-tych zatrzymał się na parę dni w pensjonacie P. Rudzińskiej (al. Śródkowa nr 8). Uwodziły go zapachy leśne, cisza i zasmakowały serwowane dania. O podjętej później decyzji tak sam opowiadał :

W jesieni roku 1930 przenosiłem się na stałe do Anina. Wynająłem pokój w typowym drewniaku i zacząłem się powoli zagospodarowywać. W rok później przeniósłem się na piętro tej willi, gdzie miałem już dwie werandy, kominek, psa i klucze do lasu. Najładniejsza część lasu była wówczas nietknięta, dziewicza i zamknięta na kłódkę.

W miarę upływu czasu czyniono dalsze inwestycje. Willę otynkowano. Bryła budynku pozostała w kształcie pierwotnym, jednak całość uzyskała charakter budowli murowanej. W środkowej części ogrodu powstał basen, w którym w upalne lata zażywano kąpiele, a wokół gromadziła się młodzież.

Jednym z grona bywalców w końcu lat 30-tych był późniejszy lekarz laryngolog, o doskonałej wiedzy medycznej, wysokiej kulturze osobistej i ogromnie życzliwym podejściu do pacjenta, a także późniejszy mąż Mirosławy Felicji Jaroszewskiej – Leon Jastrzębski (junior). Przez bliskich i przyjaciół zwany był „Lulkiem”.

Urodził się w 1915 roku w Rosji. Był synem Leona Jastrzębskiego, znanego i cenionego lekarza pediatry i rosjanki Aleksandry Gawryłowej – wdowy po carskim oficerze – z którą doktor się ożenił.

Okupacja

Nadeszły lata okupacji niemieckiej. Warszawska firma odlewnicza inż. Jaroszewskiego nadal prosperowała. Wokół anińskiej willi równie pięknie utrzymywała się roślinność. Obficie polewana wodą stanowiła oazę zieleni i kwiecica na tle wysychających w lecie okolic.

Do południowej elewacji domu (od strony sąsiada) dobudowano część z przeznaczeniem między innymi na gabinet lekarski. W średniej wielkości pokoju, poza kąpielnią z niezbędnym sprzętem medycznym, były normalne meble. Na ścianach wisiały różne trofea myśliwskie, zdobywane na polowaniach, bowiem dyrektor Lulek był także zamiłowanym myśliwym. W tym gabinecie każdy pacjent czuł się swojsko, otoczony życzliwością, otrzymywał fachową poradę i pomoc.

Z biegiem czasu starzy mieszkańcy willi odchodzili, następne pokolenia rozproszyły się po świecie. Posiadłość przetrwała do dziś, nie zniszczył jej pożar ani bomba lotnicza, tylko jej dawna świetność i uroda gdzieś się pogubiły.

A co w tym miejscu uczynią kolejni, nowi jej właściciele?

Od redakcji

J. Zaruba tak pisze o swoim powojennym powrocie do Anina: *Kiedy redakcja SZPILEK przeniósł się nareszcie w roku 1948 z Łodzi do stolicy, zacząłem szukać jakiegoś odpowiedniego „lokum” w okolicach Warszawy na swe mieszkanie. Redakcja dała ogłoszenie na ten temat i w odpowiedzi wpłynęła oferta mojego byłego gospodarza z Anina inż. T.J., który zaproponował, żebym objął w posiadanie dawne piętterko, przedtem je jednak odbudowując własnym kosztem, gdyż jak wspomniałem, cały dom mocno ucierpiał w czasie natarcia radzieckiego przedpoła Warszawy jesienią 1944 roku. Zgodziłem się i po pewnym czasie wróciłem na swoje stare, odnowione zresztą w sposób bardziej funkcjonalny, śmieci.*

*Z pamiętników bywalca
s 172*

*Nowym właścicielem posesji
jest Tymon Kulczycki,
z którym już nawiązano
dobrze rokujący
kontakt.
Mamy nadzieję
na współpracę
w sprawie
anińskiego roku Zaruby*



WIERSZE

Królestwo słów niezebranych

Jednych słowa
nawiedzają
w drodze do
pracy zwykłej.

A ja muszę
długo w noc
biec za nimi,
zdradzając sen.

Czasem złapię
złotą grzywę,
czasem tylko
mysi ogon.

Ja – słów pani
bladolica
- niewyspana.

11/12 II 2008

Godziny

Długo w noc
szukam słów,
w których mogłabym
zamknąć świat.

Smakuję je
jak ciepłą mgłę,
co lepką watą
otula miniony dzień.

Szpilką pióra
przypinam te,
które strawił żar
białej kartki – jak ćmę.

11/12 XII 2007

* * *

Przez szczelinę
pękniętego lustra
– dawno temu –
ucieкло nasze szczęście.
Zostaliśmy sami
twarzą w twarz,
nie wiedzący co dalej.

Długo szukaliśmy
w zakamarkach
naszego domu-nie-domu,
za firanami,
może przycupnęło
na parapecie gotowe
do skoku w tę lub tamtą
przestrzeń naszego
bytu-nie-bytu.

Aż któregoś dnia
przez szczelinę
niedomkniętych drzwi
wyszedł twój cień.

Zostałam twarzą w twarz
z pękniętym obliczem lustra,
nie wiedząca co dalej –
ja – cień twojego cienia.

Impresja

Jakie piękne jest życie
zamknięte w tańcu
śnieżnych płatków.

Jak barwne jest życie
zamknięte w bieli
śnieżnych płatków.

Jak kruche jest życie
rozpięte na linie
ponad światem.

Niczego nie upiększaj,
tylko milcz i patrz,
i... żyj.

Po lekturze „Płatka śniegu”
Maxence’a Fermine’a
8 X 2007

Wrześniowa impresja

Jeszcze klomby strojne w kolory
złocą się w promieniach słońca.
Jeszcze ciepły wiatr snuje
słodko-gorzkie zapachy,
garściami przylatują owady.

Łowią w nozdrza zapach
odchodzącego lata
jak obietnicę.
Na palce nawlekam babie lato
drżące.

Haust poranka

Słońce roztrzaskało się
na szybie mego okna.
Na firance rozkwitł dzień
jak podarowany kwiat.

Od kogo ten biały list
– jak dobrej nowiny tyk? ...

9 II 2008

Przez cały rok otwarte drzwi

Przychodzą całą zimę
ze zmarzniętymi dłońmi.

Przynoszą zmarznięte
okładki i kartki
z gorejącą treścią.

Gubią rękawiczki
i szaliki – na wiatr.

Czasem mają uśmiech
jak dymiący imbryk,
Czasem tłuczony lód.

Byle do wiosny dotrzeć...
I tak przez okrągły rok –

11/12 II 2008

Piotr Mitzner

POWRÓT BYWALCA

Kilka lat temu (MNA z czerwca 2003) dzieliłem się już z aninianinami tym, co pamiętam o Jerzym Zarubie. Teraz okazją do przypomnienia malarza i karykaturzysty jest wznowienie przez Iskry w jednym tomie dwóch jego książek: *Z pamiętników bywalca i Patrząc na Warszawę*. Był bowiem Zaruba świetnym pisarzem (jeśli o randze autora świadczy nie ilość, ale klasa utworów), wspominkarzem doskonałym. Rzadko się zdarza, by gawędziarze, umiejący zabawiać towarzystwo barwnymi anegdotami, potrafili swoje opowieści równie celnie zapisać. Zaruba potrafił.

Nie będę tu przytaczał jego opowieści, żeby ich nie spłaszczyć, nie wyrwać z kontekstu. Trzeba je też czytać, patrząc na rysunki, bo Zaruba jest kronikarzem, który posługuje się równocześnie słowem i obrazem.

Wspomnienia te są bardzo zmyślnie skomponowane – jak przystało na malarza formistę (do tego kierunku należał w młodości). Na przykład okres dzieciństwa i młodości ma tempo nieco powolniejsze w porównaniu z okresem dwudziestolecia międzywojennego. Ten czas aktywnej pracy w pismach satyrycznych, życia artystycznego i kawiarnianego ma w pamiętniku rytm przyspieszony. Zdyszany. Jedna anegdota goni drugą, ale żadna nie jest zbędna. To, co Zaruba pisze o swoim życiu w Aninie, zwłaszcza po wojnie, to z kolei jakby list prywatny o rozmaitych uciążliwościach peerelowskiej codzienności: złe drogi, telekomunikacja, dzika zabudowa, wycinki drzew (skąd my to znamy!) itd.

Zapiski Zaruby nie są opowieścią o życiu i sukcesach artystycznych autora, ale właśnie o czasie minionym i mijającym w Kijowie, Warszawie, Londynie i Aninie. Jego anegdoty to małe scenki teatralne. To zrozumiałe, bo przecież i z teatrem miał do czynienia, projektując lalki dla szopek politycznych.

Już przed wojną. Można powiedzieć, że po wojnie też – niestety.

Zagorzały tropiciel, czytelnik „Szpilek” z lat stalinowskich, może próbować udowodnić Zarubie służalczość. *Pamiętniki bywalca* dają tło jego rysunkom, nawet karykaturom politycznym tego ponurego okresu. Wspomnienia te, wydane po raz pierwszy w 1958 roku, chwilami są tak złośliwe wobec realnego socjalizmu, że dzisiejszy czytelnik zachodzi w głowę, jak to się stało, że w ogóle się ukazały. Czy cenzor o kryptonimie B-90, podpisany w stopce książki zdrzemnął się, kiedy zsyłano ją do druku? O okresie „błędów i wypaczeń” pisze Zaruba w specyficzny sposób. Pokazuje jak artyści próbowali zachować dystans wobec socrealizmu, jak kpili z potwora, by zachować jaką taką niezależność.

Mój ojciec, redaktor „Szpilek”, z okazji jubileuszu artysty pisał w 1961 roku: *Zaruba jest wybitną indywidualnością, człowiekiem ukształtowanym według swego charakteru – upodobań, gustów i smaków (z kulinarnymi włącznie). W naszym wieku standardu i pośpiechu pokazuje, jak bardzo można być nie oryginałem, naśladowującym tysiąc innych podobnych oryginałów, ale kimś wiernym sobie, żyjącym tak, jak jemu się dobrze żyje.*

Może właśnie dlatego warto czytać wspomnienia Zaruby. Pozwalają one wierzyć, że przeszłość nie jest tylko ciągiem koszmarów, że pewien kpiarski ton (także wobec siebie i swojej sztuki) pozwala łatwiej znosić dzień dzisiejszy i pogodnie patrzeć w przyszłość.

Przechowuję trzy rysunki Zaruby, dostałem je od niego, gdy miałem osiem lat. Na jednym z nich jest Zagłoba – postać, z którą być może się trochę utożsamiał; ten, co stracił jedno oko, ale drugim patrzy z pogodną ironią na teatr tego świata.

Maxence Fermine:

Płatek śniegu.

„Jacek Santorski”,

Warszawa 2007.

Przeł. Ewa Konarowska

Płatek śniegu to proza dla czytelnika wyrobionego, kochającego poezję, poszukującego głębszego wymiaru życia. Jest to przepiękna i mądra impresja, posługująca się niezwykłą metaforą, urzekająca zarówno słowem, jak i formą refleksyjna opowieść z ledwie zarysowaną fabułą – poetycka i zmysłowa; niezwykle wysmakowana, czerpiąca przy tym z mądrości Wschodu.

Dla Europejczyka wychowanego w kręgu kultury helleńskiej życie ma dwa wymiary: apolloński i dionizyjski. Jest to zetknięcie duchowego piękna życia z jego brzydota, doświadczeniem cierpienia. Człowiek doświadcza ciągłej walki żywiołów. Kultura orientalna oparta na filozofii i religii shintoistycznej, nie przemilcza bynajmniej cierpienia, ale tłumaczy je piękniej, w poczuciu zespolenia z przyrodą i nieustannego ruchu. Uczy cierpliwości i pokory.

Fermine w swojej opowieści sięga do tej mądrości. Przekazuje czytelnikowi piękną i głęboko mądrą historię miłosną, którą czytamy jak legendę ze starych pergaminów. Jest to opowieść wysmakowana językowo i stylistycznie, zawarta w krótkiej formie. Książeczka liczy zaledwie 103 strony tekstu, podzielonego na 54 krótkie, czasem jednostronicowe, cząsteczki. Zasługa w tym zarówno autora, jak i tłumaczki. Całość ilustrowana jest podobiznami japońskich rycin, co dodaje uroku i smaku tekstowi, przeplatnemu dodatkowo oryginalną, japońską poezją.

Katarzyna Nowak



wizytą w salonie Boya

W kwietniu obiecał się spotkać z anińską społecznością w Bibliotece:

Wiesław Uchański – człowiek-legenda, o którym krąży mnóstwo opowieści.

Jest niezwykle nie dlatego, że jako prezes Wydawnictwa „Iskry” osiągnął sukces; że wydaje książki wyrefinowane edytorsko, bogato ilustrowane serie, które przyjemnie wziąć do ręki.

Jest niezwykle przez swoją pasję, która biuro „Iskier” zamieniła w urokliwe muzeum literatury.

Jeszcze w czasie wrocławskich studiów

zaczął zbierać starocie – ukierunkowane kolekcjonerstwo (pasja, o której właśnie krążą anegdota) zaowocowała stworzeniem w biurze „Iskier” niezwykłego Salonu Boya.

Wchodząc do wydawnictwa (w sprawach związanych z nabyciem praw do nieodpłatnego przedruku prac J. Zaruby)

poczułyśmy się, jak ludzie, którzy odbyli podróż w czasie.

Znalazłyśmy się wśród setek przedmiotów, starannie wyeksponowanych obrazów, figur, rzeźb, mebli, teczek, nart, zegarów – z minionego stulecia. I w prawdziwym salonie.

Każdy z tych przedmiotów ma podwójną historię: tę, która wiąże się z osobą, do której należała, i tę, w jaki sposób trafiła do Salonu Boya.

Przyszliśmy w sprawach prozaicznych. Wyszliśmy wzbogacone nie tylko opowieścią o „naszym” Zarubie, ale i o ludziach literatury minionego stulecia, po których ślady pielęgnuje prezes „Iskier”, Wiesław Uchański.

Tekst J.T. Szymczak
Foto Barbara Szpinda





wizytą w salonie **Boya** ciąg dalszy



Wydawnictwo „Iskry” mieści się w dawnym mieszkaniu Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Aby to upamiętnić, stworzyliśmy Salon Boya, w którym przechowujemy pamiątki po słynnym tłumaczu, krytyku i pisarzu: maszynę do pisania, listy, dokumenty, zdjęcia, książki. Tu także znajduje się powierzone nam w depozyt prywatne archiwum Mariana Brandysa, wkrótce zaś dostępne będzie archiwum Stefana Kisielewskiego – Kisielela. Salon Boya stał się wizytówką naszej firmy, a organizowane w nim spotkania cieszą się dużym powodzeniem. Serdecznie zapraszamy wszystkich chętnych do odwiedzin siedziby Wydawnictwa.



Joanna Jankowska

Proszę Państwa, oto Biblioteka!

Nie każdy mieszkaniec Anina wie, że niedawno otwarta Biblioteka Publiczna przy ul. Trawiastej 10 spełnia tzw. „standardy zachodnie” – to znaczy, że w niczym nie ustępuje bibliotekom najwyższej rozwiniętych krajów Europy. Mało który aninianin zna też fakt, że nasza Biblioteka została wyróżniona jako druga wśród najbardziej przyjaznych ludziom budowli województwa mazowieckiego (po zespole warszawskich basenów); tym bardziej niewielu

aninian orientuje się, dlaczego i za co przyznano to wyróżnienie. Ba! – wiem, że mało osób z Anina ma świadomość, iż w pobliżu ich domów w ogóle istnieje jakaś biblioteka! Kiedy bowiem zmierzają tu zaproszeni do udziału w różnych imprezach goście i pytają mieszkańców pobliskich domów o drogę, często słyszą odpowiedź: „Biblioteka? Ależ nie, tutaj nie ma żadnej biblioteki!”

Zanim wejdziemy...

Pragnę więc zabawić się w przewodnika i pokazać Państwu – choćby tylko opisowo – wnętrza i otoczenie tej placówki, mając nadzieję, iż wielu z Państwa zachęci to do odwiedzenia tego nowoczesnego obiektu i do zasilenia niemałego już szeregu jego stałych bywalców.



Jest to dwukondygnacyjny, ciemnorudy budynek, położony

w głębi dużego dziedzińca, który służy jako bezpłatny parking dla zmotoryzowanych gości. Na furtce nie ma tabliczki z nazwą instytucji, bo nie jest potrzebna – Bibliotekę można z daleka rozpoznać po ogromnych oknach, w których widać regały z książkami, a także – po oszklonej tablicy z informacjami o najbliższych imprezach artystycznych, stojącej tuż przy bramie podwórza.

Parter

Przed drzwiami do budynku jest długi podjazd zamiast schodków, co umożliwia wejście do środka ludziom niepełnosprawnym oraz osobom z małymi dziećmi w wózkach, czy też z ciężkimi bagażami, ciągniętymi po ziemi.

Wewnątrz nie ma progów, a podłogi nie są śliskie – wyłożono je matową, chropawą, jasną terakotą – co zmniejsza do minimum niebezpieczeństwo przewrócenia się, nawet dla rozbieganych dzieci w deszczowe i śnieżne dni.

W hallu głównym znajduje się przestronna winda, toteż nie ma konieczności wchodzenia na piętro po

schodach, co wielu osobom uniemożliwiłoby odwiedzenie wyższej kondygnacji.

Ale zacznijmy zwiedzanie od parteru. Po lewej stronie od wejścia jest Informatorium, gdzie zawsze można uzyskać odpowiedź na każde pytanie, dotyczące pracy Biblioteki. Nieco dalej w hallu są trzy stanowiska komputerowe z dostępem do katalogów i do Internetu; czytelnicy mogą z nich korzystać bezpłatnie. Oszklone drzwi prowadzą do Wypożyczalni dla Dorosłych im. K. I. Gałczyńskiego. Czytelnicy mają tam wolny dostęp do półek z książkami, ale oczywiście mogą także korzystać z pomocy bibliotekarza przy poszukiwaniu konkretnych wolumenów.

W korytarzu znajdują się też niepośledniej wagi pomieszczenia, które nie we wszystkich miejscach użyteczności publicznej są dostępne dla klientów – mianowicie toalety; zadbane, czyste, sprawne, z mydłem i ciepłą wodą, z lustrami i papierowymi ręcznikami.

Na parterze znajduje się też magazyn książek, zaś po lewej stronie - drzwi do kuchenki, w której przygotowywana jest herbata i kawa ze słodkim poczęstunkiem dla gości i artystów - uczestników imprez, organizowanych w placówce.





BIBLIOTEKA – NASZ DOM NA TRAWIASTEJ

Katarzyna Nowak

Zza lady bibliotecznej...

... uwag kilka. Specyfika pracy bibliotekarza jest tak oczywista, jak specyfika zawodu nauczycielskiego. Kontakt z czytelnikiem wymaga bowiem sporej wiedzy i ... odporności. A wszystko to, żeby czytelnikowi dobrze służyć.

Jakże często bibliotekarz jest przewodnikiem czytelnika – już to polecając lekturę godną uwagi, już to odnajdując na półce „skrywającą się” przed czytelnikiem książkę. Biblioteka bowiem to labirynt, po którym bez dobrego przewodnika nie sposób się poruszać. Labirynt zaś jest symbolem wtajemniczenia i mądrości. Ten, kto umie odnaleźć drogę do centrum labiryntu i z powrotem – do wejścia, mądrość ową posiada. Ów tryumf ducha nad materią to umiejętność dokonywania dobrych wyborów spośród gmatwaniny propozycji, trafiających do odbiorcy. Jeśli zgodzimy się z tezą, iż żyjemy w dobie cywilizacji obrazkowej – mediów wizualnych – telewizji, Internetu, nadmiaru informacyjnego – to zwrot w stronę książki, a co za tym idzie – w stronę biblioteki, musi dać nam poczucie wolności, zwycięstwa inteligencji nad instynktem. Kiedy poszukujący czytelnik przychodzi do biblioteki – wygrywają wszyscy. Bibliotekarz – bo może spełniać swoją misję przewodnika i mentora, autorzy książek – bo piszą dla żywego odbiorcy i przede wszystkim sam czytelnik – bo wchodząc w

strefę słowa pisanego i kultury wysokiej, określa swoją tożsamość w świecie.

Ale biblioteka to nie tylko świątynia książki. Tutaj można przyjść, żeby pożyczyć – i to nie tylko życiem cudzym – książkowych postaci, ale przede wszystkim swoim – wewnętrznym życiem – wolnym od trosk codziennych i przyziemnych. A, że do biblioteki nie przychodzą ludzie jak do sklepu z książką, na nieważną czy konieczną chwilę – jest bibliotekarz także dobrym znajomym, z którym można zamienić kilka słów.

Wypożyczalnia nr 121 w Międzyzlesiu jest dużą placówką, obsługującą setki czytelników z terenu Wawra, ale także całej Warszawy. Ta „stara – nowa” biblioteka, która towarzyszy mieszkańcom od dziesiątek lat, posiada stale grono czytelników i jest jednocześnie otwarta na nowych, których stale przybywa.

Biblioteki wawerskie mają coraz więcej powodów do dumy. Rozwijamy się – staramy się unowocześniać nasze placówki, by lepiej służyć czytelnikom. Stoją przed nami nowe wyzwania kulturotwórcze. Spełnienie tych zadań powiedzie się tylko przy współpracy z czytelnikami, którzy stanowią żywe bogactwo każdej biblioteki. Dlatego, zapraszając Państwa do czy-



tania, zapraszamy też do współtworzenia wspólnej przestrzeni kulturowej. Razem stwórzmy dobrą aurę wokół wszystkich bibliotek wawerskich.

Każdy bibliotekarz musi znać specyfikę grup czytelniczych, bo przecież nie można mówić o czytelniczym monolicie. „Moją” bibliotekę w Międzyzlesiu, odwiedzają ludzie starsi, dla których książki to często jedyna rozrywka. Często zaglądają tu rodzice ze swoimi pociechami, prosząc w doborze lektury odpowiedniej dla wieku dziecka. Szeregi czytelnicze zasila też młodzież poszukująca zazwyczaj lektur ze szkolnej listy lub materiałów pomocniczych do lekcji. Przychodzą studenci, którym możemy służyć podręcznikami akademickimi. Spotykają się tutaj intelektualści i zwykli czytelnicy. Przy czym zwykli – nie znaczy mierni. I tutaj – w bibliotece jest miejsce na przepływ i wymianę tych myśli.

Słowo pisane ocala, nie tylko autora. Ocala też czytelnika, kiedy wywołuje jego interakcje – refleksje, śmiech, płacz, oburzenie.



Biblioteka dziecięca

Na prawo od drzwi wejściowych znajduje się sala Biblioteki Dziecięcej. Jest to niewątpliwie najładniejsze pomieszczenie budynku: obszerne, jasne, słoneczne, wesole, z ogromnymi oknami o ukwieconych parapetach, z dywanem, z miejscem do czytania i zabawy przy kolorowych stolikach dla najmłodszych, z czterema stanowiskami komputerowymi dla nieco starszych, z wolnym dostępem do półek z książkami, zarówno popularnonaukowymi, jak i beletrystyką, podzieloną na poziomy – odpowiednio do czterech grup wiekowych młodych czytelników. Strop wielkiej sali bezpiecznie podpierają ozdobne, białe kolumny, oddzielające część „regałową” od części „wolnej” – bez mebli – przeznaczanej na licznie organizowane tu imprezy literacko-muzyczne, zarówno dziecięce, jak i dla dorosłej publiczności. Na białych ścianach tej sali zawsze wiszą obrazy i rysunki – wystawy twórczości grup malarskich oraz pojedynczych artystów.

Czytelnia naukowa

Na piętrze budynku znajduje się Czytelnia Naukowa. Tu mamy największą w Bibliotece liczbę stanowisk komputerowych z dostępem do Internetu. Czytelnia jest także jasna i przytulna, z nowymi, ładnymi meblami, z kwiatami w oknach i pod ścianami, z bogatym i wciąż aktualizowanym księgozbiorem podręcznym. W hallu piętra, za pomieszczeniami biurowymi, również znajdują się toalety dla gości.

Nie wiem, czy jakkolwiek dzielnica Warszawy poza Aninem może pochwalić się tak nowoczesną placówką. Dlatego szczerze i gorąco zachęcam wszystkich Państwa – miłośników książki, kultury i sztuki – do [niejednokrotnego] odwiedzenia tego pięknego obiektu.



Siostra Antonietta

Halina Kowalska

Spotkanie z historią w tle

S. Teresa Antonietta Frącek,

Siostry Rodziny Maryi z pomocą dzieciom polskim i żydowskim w Międzylesiu i Aninie,
Wydawca Biblioteka Publiczna w Dzielnicy Wawer m.st. Warszawy,
Warszawa 2006

6-tego września w Zgromadzeniu Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi w Międzylesiu uroczystie obchodzono 150-tą rocznicę powstania tego zgromadzenia, 80-tą rocznicę założenia domu dla dzieci chorych – *Ulanówek*, poświęcenie nowo wybudowanego pawilonu oraz nadanie temu zakładowi imienia Matki Matyldy Getter.

Mszę św. w kościele parafialnym koncelebrował arcybiskup Leszek Sławoj Głódź. Siostra Teresa Antonietta Frącek przedstawiała wówczas historię Zgromadzenia.

Po mszy św. ks. arcybiskup poświęcił nowy pawilon i ogłosił nadanie miejscu imienia Matki Getter. Portret Matki odsłonił Jej bratanek, Marek Getter.

W czasie wydanego przez siostry obiadu siostra Teresa Antonietta Frącek przedstawiła charyzmatyczną postać patronki obiektu.

Jej Zgromadzenie założył ks. Zygmunt Szczęsny Feliński w 1857 r. w Petersburgu. 18 sierpnia 2002 r. w Krakowie Papież Jan Paweł II wyniósł Go na ołtarze. Od początku powstania Zgromadzenia do dzisiaj siostry opiekują się sierotami i potrzebującymi pomocy. Obecnie Zgromadzenie liczy 1200 sióstr w domach w Polsce, Brazylii, Italii, na Białorusi, Ukrainie i w Federacji Rosyjskiej.

Pierwszy dom w Międzylesiu powstał już w 1920r. pod nazwą *Zosinek*, a w 1927 drugi dom – *Ulanówek*. Organizatorką tych domów była Matka Matylda Getter, która dzielnie przeprowadziła dzieci przez trudny czas wojny i po wojnie. Dlatego Dom ten i zakład, który nosił nazwę *Dom Pomocy Społecznej dla dzieci Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi* otrzymał imię Matki Matyldy Getter.

W Międzylesiu odwiedzał dzieci ks. Ignacy Skorupka – ostatni raz w sierpniu 1920r., zaś po wojnie – ks. Prymas Stefan Wyszyński, który do końca życia utrzymywał korespondencję z Matką Matyldą Getter.

W domach Sióstr Rodziny Maryi w czasie okupacji hitlerowskiej znajdowały schronienie także dzieci żydowskie.



Marek Getter, bratanek m. Matyldy Getter

I o tym opowiedziała Siostra Antonietta na promocji książki jej autorstwa. Odbyła się ona 16 lutego 2008 r. w budynku Biblioteki Wawra w Aninie. Licznie przybyli na spotkanie mieszkańcy Anina i Międzylesia mogli podziwiać nieskazitelną, piękną polszczyznę Siostry Antonietty, jej płynną, przejrzystą opowieść o czasach trudnych, ludziach niezwykłych. O matce Matyldzie Getter, wyróżnionej tytułem „Sprawiedliwy wśród narodów świata”, ale także – o błogostawionym Zygmuncie Szczęsnym Felińskim, założycielu Zgromadzenia Sióstr Rodziny Maryi.

Siostra Antonietta nie wspomniała, iż była tą osobą, która m.in. przygotowywała beatyfikację Błogostawionego Arcybiskupa.



Sluchacze na promocji książki s. Antonietty w Bibliotece

„Zdarzeń” było bardzo dużo – skromnymi siłami redakcji nie mogliśmy wszystkich „obsłużyć”, więc tylko sygnalizujemy o przebiegu niektórych.

10 stycznia spotkali się w Bibliotece na Trawiastej ludzie, których przyciągnęła magia nazwisk Elżbiety Barszczewskiej i Marii Dąbrowskiej, a także ciekawość, jakie związki łączyły te dwie kobiety. Mówił o tym Igor Strojcecki (spokrewniony z paniami), pasjonujący się genealogią. Opowiadał ciekawie i płynnie, czytał – odnoszące się do tematu fragmentu „Dzienników” Dąbrowskiej. Na ścianie była miniwystawa malarstwa Barszczewskiej – autoportrety i kwiaty, a z głośnika popłynął jej głos tak czysty, że wydawało się, że aktorka jest wśród nas. **AF**

17 stycznia odbył się udany wieczór autorski poetów grupy Terra Poetica – Zbigniewa Kurzyńskiego, Andrzeja B. Fudali. Występ ich otwiera cykl wieczorów autorskich twórców tej grupy w Bibliotece na Trawiastej.

19 stycznia odbył się wernisaż wystawy Grupy Niepełnosprawnych Matematyków Malujących „Tubka”. Obrazy mogło obejrzeć przez kilkadziesiąt dni wielu czytelników.

24 stycznia – na spotkanie z Dorotą Gellner, autorką wierszy dla dzieci przybyli uczniowie z klas młodszych dwóch anińskich szkół. Autorka rozruszała widownię – nie tylko słuchano wierszy – tańczono i śpiewano. Było „fajnie”.

31 stycznia – odbyło się tradycyjne już ósme z kolei zakończenie roku kulturalnego i sportowego w Wawrze. Rozdano pochwały i nagrody, które (niektórym) wręczał sam największy burmistrz, Jacek Duchnowski. Wydawcy i redaktorzy MNA też się załapali!

16 stycznia – w Instytucie Historii PAN dokonano oceny książki „Wawer i jego osiedla”. Była pozytywna! ▼



„OTWARTY TOMIK” w Klubie Kultury Anin

Tym razem – w **styczniowy piątek** – „Tomik poświęcony był poezji Alicji Francman, uważanej przez wszystkich za godną kontynuatorkę tradycji Anina, jako osiedla poetów. Ponad trzydzieści jej wierszy z tomiku *JEST BŁAWATNIE* czytali głośno uczestnicy zdarzenia. Było niezwykle. Tylu ludzi... każdy uzasadnił, dlaczego do recytacji wybrał ten, a nie inny wiersz Alicji. Najbardziej wnikliwą recenzję jej twórczości przedstawił pan Perzyński, zaliczając jej twórczość do nurtu liryki „kobiecej” wybitnych polskich poetek. Świetną znajomością tej „kobiecej” poezji pan M. Perzyński zaskoczył zebrane (w większości) panie.

Poetka – bohaterka wieczoru – cichym głosem odczytała zaledwie kilka wzruszających wierszy, dedykowanych najbliższym – z przygotowanego do druku tomiku „Dedykacje”. Wzruszyła wszystkich.

O *Otwartym Tomiku* pisała Henryka Murat w *Linii Otwockiej* (organizatorzy dziękują!), wspominał *Kurier Warszawski*. Sądzymy, że pomysł wieczorów poetyckich o takim „otwartym” charakterze przyjmie się na dobre. **(T)**

29 lutego „otwarto tomik” z limerykami – nie tylko anińskimi. Oto jeden z nich autorstwa Marii Chodorek:

**TU W ANINIE SAM ZARUBA
JERZY – NIE ŻADNA PODRÓBA
MIESZKAŁ, PISAŁ I RYSOWAŁ,
Z PRZYJACIÓŁMI BIESIADOWAŁ
POSTAĆ LUBA – DLA NAS CHLUBA**

„Już za sto dni matura...” 2008

w naszym aninским liceum

O

godzinie 20.30 rozbrzmiały pierwsze nuty poloneza. Na salę tanecznym krokiem wkroczyli chłopcy, eleganccy i przystojni jak nigdy. Jedna z nauczycielek żartowała – szkoda, że uczniowie nie przychodzą w garniturach do szkoły, wtedy na pewno stawałaby im same piątki.

A za chwilę... sala wypełniła się szelestem wieczorowych kreacji i przy chłopcach stanęły dziewczyny, a raczej cudne zjawiska w pięknych sukniach i idealnych fryzurach.

Rozpoczęliśmy taniec, nad którym pracowaliśmy ponad miesiąc. Baliśmy się, że coś nam nie wyjdzie i przyniesiemy wstyd naszemu choreografowi. Na szczęście wszystko poszło dobrze...

Dyrektor – Lidia Szczytowska uznała bal za otwarty. Przed zakończeniem części oficjalnej czekał nas jeszcze tzw. walc dyrektorski. Z głośników popłynęła muzyka, wielu z nas zapomniało jednak o odpowiednim takcie, więc walc był walcem tylko z nazwy, bo w końcu i tak każdy tańczył tak, jak umiał.

Zanim nasze fryzury opanował nieład, a po makijażu nie został nawet ślad, fotograf zrobił każdej klasie pamiątkowe zdjęcie. Zażartował, że trzeba spraw-

dzić, czy dziewczyny ubrane są zgodnie ze studniówkową tradycją. Na dziewczęcych policzkach pojawił się rumieniec, ale w końcu pokazały czerwone podwiązki. Chłopcy ochoczo asystowali fotografowi i przypominali, że podwiązka, to nie jedyny obowiązkowy element stroju i twierdzili, że należałoby dobrze sprawdzić, czy dziewczyny mają także czerwoną bieliznę. Na szczęście ten pomysł upadł przy wtórze chóralnego śmiechu.

Przyszła pora na tańce i zabawę do piątej rano. Zgodnie z tradycją zorganizowano konkurs na króla i królową balu. Tej nocy na parkiecie wszyscy bawili się i tańczyli ze wszystkimi.

Najmilej wspominam „pociąg”, w którym brał udział niemal każdy uczestnik studniówki. Utwór pt. „Makarena” zgromadził na parkiecie więcej tancerzy niż jakakolwiek inna piosenka.

I tak minęła noc, wraz z którą rozpoczęło się odliczanie sto dni do matury. Teraz czeka nas powrót do cięższej pracy. Wspomnienia tego wieczoru pozostaną w naszej pamięci...

Natalia Prysak
uczennica XXVI LO
mieszkanca Anina



Moja Klasa

[ciąg dalszy](#)

Maturę – w mojej XIA klasie uzyskało 20 osób, w klasie XIB, uczącej się już „tylko” jedenaście lat, egzaminy pomyślnie złożyło 18 osób. Świadectwa wręczono nam 26 maja 1951 roku; na wyższe uczelnie – od Politechniki Warszawskiej, Uniwersytetu, Akademii Medycznej po SGGW – dostali się wszyscy absolwenci XIA. Nasze drogi rozeszły się.

Po raz pierwszy „gremialnie” skrzyknęliśmy się w 1956 r., 5 lat od daty naszej matury. Rok był burzliwy i brzemienisty w skutki polityczne. Część naszej klasy zmieniła kierunek studiów, ktoś opuścił uczelnię – poszedł do pracy. Zaczęliśmy zakładać rodziny.

Uroczysty, pełny zjazd dla obu klas „A” i „B” zorganizował w 20 rocznicę matury Jędrzej Kowalski. Spotkanie rozpoczęło się w domu Więcka i stąd pochodzą obie prezentowane fotografie (czarno-białe). Są na nich nasze nauczycielki: Henryka Markiewiczowa, Zofia Łągwa Zofia Mianowska, Łucja Dryżałowska i Halina Szalewicz. Po „oficjalnych” spotkaniach przenieśliśmy się na Stare Miasto do Rycerskiej, gdzie bawiliśmy się fetując spotkanie do rana...

Jubileusz

Na jubileuszu 55-lecia szkoły średniej w Aninie, obchodzonym w XXVI LO zjawiała się garstka osób z mojej klasy. Na kolorowym zdjęciu z maja 2000 r. jest nas dziesięcioro. W tej grupie większość stanowią inżynierowie (5), w tym dwóch z tytułem naukowym profesora zwyczajnego w dziedzinie chemii. Pozostali to absolwenci wydziałów budownictwa lądowego i elektryczności. Jest geograf i chemik z wykształceniem uniwersyteckim. Wśród lekarzy medycyny znajduje się ortopeda traumatolog z tytułem profesora zwyczajnego nauk medycznych, lekarz specjalista z zakresu okulistyki oraz epidemiolog znany ze zwalczania chorób wirusowych w Indiach i „rogu” Afryki. Absolwentkami tej klasy są również lekarz weterynarii oraz biolog – wychowawczyni i nauczycielka młodzieży uczęszczającej do XXVI LO. W 2001 r. obchodziliśmy 50-lecie naszej matury – w zjeździe wzięło udział 25 osób (z obu klas). Jak będzie z 60-tą rocznicą?

Piotr Matywiecki napisał książkę pt. *Twarz Tuwima*. Długo na nią czekałam. Z katalogu Wydawnictwa W.A.B. dowiedziałam się, że ta monografia pojawi się w 2006 roku, niestety ukazała się z rocznym opóźnieniem. Ale warto było uzbroić się w cierpliwość.

Autor nie chciał pisać o twórczości kabaretowej Tuwima, ani o wierszach dla dzieci, z czego się bardzo ucieszyłam, ponieważ Tuwim w mojej świadomości to przede wszystkim poeta, który w młodości uległ „ro(z)staffieniu” czyli wpływowi poezji Staffa. Jako trzynastolatka byłam zachwycona *Pierwszą przechadzką* i *Wysokimi drzewami* Staffa, więc polubiłam Tuwima. Piszę to gwoli wyjaśnienia, bo mam wrażenie, że niektórzy aninianie myślą, że urodziłam się z tomikiem poezji Tuwima pod pachą, ponieważ jestem współorganizatorką Tuwimiad. Nie jest to dalekie od prawdy.

Matywiecki pisze w swojej książce: *Dla ludzi młodszych pokoleń, którzy osobiście Tuwima nie mogli znać, jest on kimś upostaciowującym paradoks intymnie znanego nieznanego! Jest podobny do wymykającego się określeniom >>dziwnego nieznanego<< z wiersza Leopolda Staffa*. Taki był dla mnie Tuwim – znany nieznanym – po przeczytaniu *Wspomnień o Julianie Tuwimie* pod redakcją Wandy Jedlickiej i Mariana Toporowskiego oraz w kontekście wcześniej poznanych tekstów poety i opracowań.

Piotr Matywiecki potrafił przedstawić bogatą osobowość Juliana Tuwima dzięki analizie niektórych wierszy. Uporządkował moją niespójną wiedzę o poecie. Zamieścił fragmenty listów Tuwima do siostry Ireny, wypowiedzi ludzi nauki i sztuki, nie zawsze bezpośrednio odnoszące się do twórczości Tuwima, ale cenne i potrzebne do interpretacji wierszy. Dzięki odpowiedniemu wykorzystaniu różnych źródeł autor przybliżył postać i twórczość poety, wyjaśnił pewne zachowania, potrafił przeniknąć do sedna twórczości Tuwima.

Matywiecki przedstawił wiele ciekawych przemyśleń, interpretacji wierszy. Szczególnie zainteresował mnie rozdział *Teatr kukiel*, który rozpoczyna się od zdania: *Kukły – to może najbardziej sugestywny temat poezji Tuwima*, a zakończenie jest następujące: *Melancholik Tuwim między postaciami wielu kukiel tworzy i swoją – sam siebie przystraja, pogrzebanego za życia*. Co zawiera rozdział? W jaki sposób Matywiecki dochodzi do takich wniosków? Należy uważnie wczytać się w tekst rozdziału i podane wiersze Tuwima, aby zrozumieć tok rozumowania autora, a jest to naprawdę ciekawa przygoda intelektualna, ale trudna.

Rozdział *Bóg i bogowie* nie jest łatwy w odbiorze, nie tylko ze względu na odwołania do filozofii, teologii, ale godzi w czytelnice przyzwyczajenia. Mam wrażenie, że wielu odbiorców poezji Tuwima przychyła się do opinii Michała Głowińskiego, że w tekstach poety: *Godne uwagi są zwłaszcza trzy kręgi aluzji: antyczny, ewangeliczny i archaiczno-słowiański*. (...) Owe aluzje archaiczno-kulturowe wprowadzają w lirykę Tuwima swoisty wymiar mitologiczny (...). Piotr Matywiecki napisał: *Głowiński zwraca też uwagę na synkretizm takich ujęć. Otóż ja – przeciwnie- jestem przekonany o głębokich i całościowych, a nie tylko aluzyjnych i synkretycznych, religijnych przy tym, a nie kulturowych i powierzchniowo >>mitologicznych<<, wtajemniczeniach Tuwima. Tak było od początku jego twórczości*. Matywiecki nie tylko wyraził swoje opinie, na ponad osiemdziesięciu stronach podaje dowody, analizując teksty Tuwima.

Czasami czułam niedosyt, niektóre problemy były tylko naszkicowane, na przykład na jednej stronie znajdują się dwa podrozdziały (*Skazaniec* i *Ostatnie zdanie*). Kiedy czytamy *Twarz Tuwima*, trzeba mieć pod ręką obszerne wydanie dzieł poety, bo często są podane tylko tytuły wierszy, a następnie interesujące rozważania autora, ale brak tekstu Tuwima. Ale nie jest to zarzut wobec Piotra Matywieckiego. Książka zawiera ponad siedemset stron, a obecnie wydawnictwa niechętnie drukują tak obszerne dzieła, więc należy się cieszyć, że W.A.B. nie wydało połowy *Twarzy Tuwima*.

Czasami jednak czułam przesyt, czytając niektóre źródła. Autor zamieścił dużo fragmentów listów Tuwima do siostry, w których poeta wyraża swój entuzjizm wobec Związku Radzieckiego i komunizmu: *Dla mnie zwycięstwo Rosji będzie nową i piękną kartą dziejów*. Czy można spokojnie czytać wypowiedź Tuwima z 1942 roku? A jaki jest stosunek Piotra Matywieckiego wobec Tuwima? Objaśnia zachowanie poety, ale nie usprawiedliwia. To niezwykła umiejętność autora – potrafi w wyważony sposób mówić o trudnych sprawach i z niezwykłą przenikliwością przedstawia na przykład agorafobię Tuwima.

Uważam, że Matywiecki (także poeta) czuje niezwykłą więź z Tuwimem i jego książka nie wpisuje się jednoznacznie w konwencję *poeta pisze o poecie*. Po jej przeczytaniu dużo dowiedziałam się o Julianie Tuwimie i... Piotrze Matywieckim, ale obaj poeci kryją jeszcze wiele tajemnic, więc warto wczytać się w ich wiersze.

Dawno temu dzięki Staffowi zainteresowałam się lirykami Tuwima, teraz Tuwim spłacił dług zaciągnięty wobec Staffa, zapoznał mnie z twórczością Piotra Matywieckiego i „zasłuchana w słowa” poetów nic więcej nie napiszę... aż do następnego razu.

Nie rozumiem, więc głupie

To, co widzimy, zależy od tego, do widzenia czego jesteśmy przygotowani. Sprzątaczką wchodząc do cudzego mieszkania, natychmiast zauważy pajęczynę w kącie i kurz pod szafami, bibliofil – cenne pierwsze wydanie książki nie do zdobycia

w księgarni, znawca malarstwa – obraz Lachura na ścianie, a hodowca kwiatów – rzadki okaz storczyka. Ktoś, kto edukację w dziedzinie poezji skończył na Konopnickiej, nie zrozumie poezji współczesnej z jej odwołaniem do prozy, nie dostrzeże przeobrażeń, jakim ulegają sami twórcy doskonałacy, uwspółcześ-

niając swój warsztat. Ja patrzę na ikonki komputera i zupełnie nie rozumiem, czemu służą te obrazki. Muszę przejść kurs, żeby zrozumieć, o co chodzi.

Uczyć się musimy wszystkiego. Zrozumienia współczesnej poezji, która zdaje się nam być szaradą – również. Spróbujmy. (T)

Ptaki z mojego karmnika

Mamy bardzo łagodną zimą, inną niż w latach ubiegłych, ale i tak stwarza ona nam możliwość podziwiania innych niż w pozostałych porach roku ptaków. Jak corocznie, wiele ich gatunków przylatuje do miasta, aby przetrwać w nim najtrudniejszą porę roku. Rzadko przyglądamy się małym ptakom, żyjącym obok naszych domów, gdyż trudno je zauważyć i jeszcze trudniej obserwować, a niewiele z nas potrafi rozpoznać ich śpiew. Miasta od wielu lat stają się schronieniem ptaków normalnie występujących w lasach i na łąkach, z dala od ludzkich siedlisk. Możliwość bliskiego obserwowania nawet rzadszych gatunków ptaków stwarza dokarmianie ich w przyokiennych lub balkonowych karmnikach. A mieszkańcy Anina, części zielonej Warszawy, gdzie rośnie więcej drzew, a i do lasu jest bliżej, mają znacznie bogatsze pole obserwacji, niż mieszkańcy centrum Warszawy.

Obserwacja ptasich biesiadników na naszym balkonie od lat stanowi rodzinne hobby. Nasz karmnik prowadzimy już od dwudziestu pięciu lat, więc kolejne pokolenia ptaków wiedzą, że co roku spotkają się u nas z gościnnością. A ściągają je obficie wysypywane ziarno słonecznika, czasami z dodatkiem konopi i prosa, a także zawieszane kule tłuszczu z zatopionymi ziarnami oraz oczywiście słonina.

Najlichniejzymi biesiadnikami są sikorki, a wśród nich najwięcej jest sikorek bogatek, z czarnymi krawatkami na żółto-zielonkawej kamizelce. Przylatują również śliczne, drobniutkie sikorki modre, sikorki czubatki z pięknym „pióropuszem” na głowie, sikorki sosnowki i najmniej liczne – sikorki ubogie. Nie jestem pewien, czy wśród nich nie pojawia się bardzo do nich podobna, a najrzadsza z naszych sikorek – sikorka czarnogłówka, różniąc się od ubogiej tylko nieco jaśniejszym, srebrzystym połyskiem na skrzydłach. Wraz z sikorkami przylatują zawsze całe gromady odważnych i wesołych wróbla polnych, czyli mazurków. Te niestety lekceważone i traktowane jako pospolite ptaki wyróżniają wigor i odwa-

ga, a podziw budzi bogactwo beżów i brązów ich upierzenia. Zachwycająca jest stała obecność znacznie drobniejszych i zupełnie odmiennie ubarwionych kowalików. Wyglądają one jak figurki wystrugane w drewnie przez dobrego rzeźbiarza. Wydłużona główka tworzy harmonijną całość z tułowiem i jest zakończona długim, mocnym dziobem. Z wierzchu szaroniebieskie, od spodu kredowobiałe z rdzawymi czy różowawymi przebarwieniami, są prawdziwym cudem natury. Wśród gości naszego karmnika są jedynymi, które zazwyczaj dziobią ziarno wisząc głową do dołu.

Od początku sezonu karmienia przylatują nasi stali współmieszkańcy: dzięcioły. Czasami potrafi ustawić się kolejka czterech czy pięciu do jednej słoninki i jednej kulki. A są wśród nich wszyscy trzej przedstawiciele dzięcioła pstrego: dużego, średniego i małego. Kiedyś, raz jeden, zawitał dzięcioł czarny – ale ten trzyma się raczej lasów. Dzięcioły jedzą słoninę umocowaną na zawieszonym pieńku, tupiąc ją mocnym dziobem i podpierając się dla równowagi ogonem lub uczeplają się kuli tłuszczu. Przylatują wcześniej rano i często zamiast budzika właśnie odgłos ich kucia wrywa mnie ze snu.

Od lat częstymi gośćmi, pojawiającymi się po nastaniu mrozów, są ptaki znacznie rzadsze w mieście. Takimi stałymi bywalcami karmnika są grubodzioby, z wyglądu podobne raczej do orientalnych, barwnych papug, niż mieszkańców naszej strefy klimatycznej. Są to duże, masywne ptaki o grubych i krótkich szaroniebieskich dziobach, obdarzone pięknym, zdecydowanym kolorystycznie ubarwieniem. Brązo-ruda głowa, czarna oprawa dzioba i oka, brązowy wierzch i jasne podbrzusze, na których tle wyróżniają się ciemnogrnatowe skrzydła z białym szlaczkiem. Również koniec ogona mają biały.

Gdy jest tylko trochę chłodniej, przylatują stada wesołych i pięknych dzwońców, o bogatym w żółcie, zieleń i brązy upierzeniu. Wśród nich uwijały się poprzednimi latami stadka podobnych nieco do nich, bardziej barwnych, wesołych

makolągów – w tym roku przylatują tylko pojedynczo. Przylatywały również drobniutkie czyżyki, ptaki niegdyś tak chętnie hodowane w klatkach dla ich śpiewu.

Zachwyty budzą wizyty rzadkich u nas gili: dwa lata temu w czasie mrozów obserwowałem siedem sztuk równocześnie zerujących w karmniku. Samce z przepięknymi czerwono-pomarańczowymi kamizelkami, samice z kamizelkami stonowanymi kolorystycznie, beżowo-szarymi.

Do większych gości naszego karmnika należą krzykliwe sójki o brązowordzawym korpusie, z białymi, niebieskimi i czarnymi piórkami, białym kuprem i czarnym ogonem oraz gawrony i kawki. Nie zawsze są to mile widziani goście, bo odstraszać mniejszych pobratymców.

Podjęcie karmienia ptaków to poważna decyzja. Jest jeden ważny warunek: rozpoczęcie dokarmiania jest zobowiązaniem podpisanym na cały sezon. Nie wolno rozpocząć dokarmiania, aby po pewnym czasie, gdy nam się to znudzi, zaprzestać go. Nie wolno również wyrzucać ptakom resztek naszego pożywienia. Niezbędne ziarna są zawsze do kupienia w sklepikach ogrodniczych, sklepikach z karmą dla zwierząt lub w większych ilościach na bazarkach. Nagrodą jest możliwość bliskiego obserwowania tych najpiękniejszych mieszkańców naszych osiedli. A oprócz naszej osobistej satysfakcji obserwacja ptaków przez nasze dzieci przynosi wielkie korzyści. Dzieci uczą się patrzeć nie na szklany ekran, gdzie pokazywane są nieraz i piękne filmy przyrodnicze, ale na żywy świat istniejący tuż za naszymi oknami. Jest on równie bogaty i kolorowy, jak ten w telewizji, a tak często nie tylko go nie dostrzegamy, ale nawet nie domyślamy się jego istnienia.





ANIŃSKI ROK JERZEGO ZARUBY

Nie jest to żaden jubileusz
Jerzego Zaruby,
żadna „równa” rocznica:
117 lat minęło od jego urodzin,
37 – od roku jego śmierci.

Uczciliśmy pamiątkowymi tablicami
pamięć tych wielkich poetów,
których on do Anina zachęcił,
więc chcemy uczcić pamięć
o człowieku, który Anin przez to
wprowadził do polskiej literatury
i Aninowi był najwierniejszy.

Dwie są ważne przyczyny, że to
właśnie rok 2008: dom, w którym
mieszkał Jerzy Zaruba,
może wkrótce
przestanie istnieć
w dawnym kształcie,
a „Iskry” w 2007 r.
wznowiły Jego książkę
„Z pamiętników bywalca”

Chcemy ocalić ślady,
wspomnienia, dokumenty.

Prosimy o współpracę
z biblioteką, z redakcją,

Oddział Anin TPW

Ale nas obgadują! Cieszymy się, bowiem – jak to
powiadają, nie ważne, dobrze, czy źle, ważne, że
mówią.

Niektórych nowy numer „niecodziennika” wpra-
wił w stan smutku, wręcz melancholii: za mało w nim
młodości, nowych trendów, świeżości, za mało
światłych przemyśleń. Innych zdenerwowała mono-
tematyczność (za dużo o bibliotece, czytaniu, poezji).
Nie podobał się niektórym „obcy” styl numeru:
zdecydowanie woleli dawny, zgrzebny, szary nieco-
dziennik, bardziej swojski, bardziej aniński. Zastanowiło nas to: dlaczego szary i zgrzebny –
skoro Anin jest taki zielony, a kiedy rozkwitną
ogrody – taki kolorowy!

Większość jednak naszych wiernych czytelników
zmianę powitała z radością, czemu dali wyraz w te-
lefonach i – prośbach o dodatkowe numery dla
przyjaciół. Odezwali się też aninianie rozproszeni
po świecie – z Kanady, z Anglii, ze Stanów. Cieszyli
się, że Anin buduje nie tylko nowe rezydencje, ale
i bibliotekę, i obiekty sportowe, że grupka przy-
jaciół przez złośliwców nazywana kółkiem wza-
jemnej adoracji stara się podtrzymać tradycje
„kulturalnego Anina”.

Otrzymaliśmy też miły telefon od kogoś, kto w
audycji Polskiego Radia usłyszał wypowiedź: *Wpa-
dło w nasze ręce urokliwe pismo anińskie, któ-
rego tytułu jednak nie próbuję nawet wymówić.*
Oczywiście! Nawet nam, przywykłym do niego,
trudno go wyartykułować bez potknięcia. Cóż, wi-
nien temu Tuwim!

Dziękujemy tym wszystkim, którzy potrudzili się,
żeby przekazać nam krytyczne uwagi. Może uczy-
nią one nasze pismo lepszym?

Redakcja

MIĘDZY NAMI ANINIANINAMI

Pismo bezpłatne
Redakcja: Maria E. Chodorek (redaktor naczelny),
Alicja Francman,
Małgorzata Fryza (sekretarz redakcji),
Elżbieta Smykowska,
Jadwiga T. Szymczak (redaktor prowadzący),
Antoni Wiweger
Adres redakcji: ul. Trawiasta 10,
04-618 Warszawa, tel. 0 22 815 33 21
adres internetowy: mfyza@gazeta.pl
Wydawca: Biblioteka Publiczna
Dzielnicy Wawer ul. Trawiasta 10,
04-618 Warszawa, tel. 0 22 815 33 21
Fotografie domu J. Zaruby – Anna Francman,
Przygotowanie do druku:
Danuta Banachowicz danusiab@neostrada.pl
Druk: Polan Poligrafia i Inroligatorstwo
Jędrzej Kowalski
Głina, ul. Lubelska 2 05-430 Celestynów,
tel. 0 22 789 7 868